

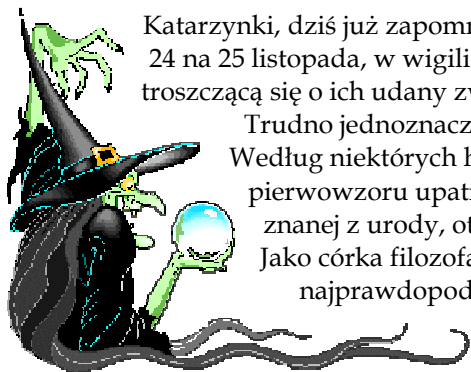


Szanowni Czytelnicy,
dzisiaj oddajemy w Wasze ręce pierwszy, tegoroczny numer naszej gazety, w którym – jak mamy nadzieję – każdy znajdzie coś dla siebie.

Życzymy miłej lektury,

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

ANDRZEJKI ZA PASEM , CZYLI COŚ DLA PANÓW: KATARZYŃKI - ZAPOMNIANY ZWYCZAJ



KatarzyŃki, dziś już zapomniany zwyczaj matrymonialnych wróżb kawalerskich, obchodzono w noc z 24 na 25 listopada, w wigilię św. Katarzyny, uznawanej między innymi za patronkę kawalerów troszczącą się o ich udany związek małżeński.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, na ile przypadkowy a na ile rozmyślny był wybór patronki. Według niektórych historyków Święta Katarzyna Aleksandryjska jest postacią fikcyjną, której pierwowzoru upatrywać należy w autentycznych losach Hypatii z Aleksandrii, córce Teona, znanej z urody, otwartego umysłu i rozległej wiedzy.

Jako córka filozofa, matematyka i astronoma nie tylko odziedziczyła po ojcu inteligencję, ale najprawdopodobniej kształciła się pod jego kierunkiem, a wykształcenie czynnie

wykorzystywała jako wykładowczyni astronomii i matematyki w Muzeum Aleksandryjskim.

Uważa się ją za wynalazczynię astrolabium i areometru.

Wizerunek kobiety intelektualistki, myślącej i wykształconej, nie przystawał do roli narzuconej przez chrześcijaństwo i pozostawał w sprzeczności z naukami Kościoła. Hypatia jako niewygodna, a przy tym zwolenniczka prefekta Aleksandrii Orestesa, oczerniona przez patriarchę Aleksandrii Cyryla, (późniejszego świętego) pod pretekstem

zajmowania się astrologią i mistycyzmem, stała się ofiarą tarć politycznych i Kościoła.

Ujęta przez podburzony przez Cyryla motłoch, poniosła męczeńską śmierć z rąk mnichów w marcu 415 roku, a pamięć o niej Kościół starał się zatrzeć.

Chrześcijaństwo wielu wierzeniom, obyczajom i świętom odbierało tożsamość, przysposabiając je do własnych potrzeb i wielce prawdopodobnym wydaje się, że Hypatia stała się Katarzyną.

W etymologii imię Katarzyna wywodzi się z greckiego Aikaterine, w którym zawarto greckie słowo aikia - tortury (męczarnia, udręka). Chętniej jednak sięga się do słowa katharos - czysty. Bardziej przystaje do legendy o świętej Katarzynie-Męczennicy, dziewicy, która oprócz urody posiadała inne przymioty Hypatii - intelekt i wiedzę. Uważana za córkę króla Aleksandrii, Konsta (lub cesarza Konstantusa), odrzucała małżeństwo, nie widząc godnego swej ręki, póki we śnie nie ujrzała ideału, jakim stał się Jezus. Pojawiając się w śnie włożył jej na palec złoty zaręczynowy pierścionek i od tego czasu czuła się mu zaślubiona. Wśród odrzuconych zalotników znalazł się cesarz Maksencjusz (Maksymian). Upokorzony rekuza uwięził Katarzynę a nie złamawszy jej postanowienia skazał na śmierć przez ścięcie.

Kult świętej Katarzyny z Aleksandrii rozpowszechnił się w chrześcijaństwie, a na kanwie legendy powstała budująca opowieść o chrześcijańskiej męczennicy, popularna i chętnie czytana w "Żywotach Świętych".

Jej imię chętnie nadawano dziewczętom, w nadziei, że przejmą cechy patronki i do dziś należy do ogromnie popularnych. Być może z racji przypisywanych jej przymiotów Katarzyna, patronka wielu zawodów, stała się opiekunką i orędowniczką cnotliwych kawalerów mających stanąć na ślubnym kobiercu.

Być może miała też znaczenie pora roku, w jakiej poświęcono jej dzień w kalendarzu.

W kalendarzu słowiańskim dzień 24 listopada był Świętem Doli, dniem w którym dziewczęta i chłopcy uciekali się do wróżb by poznać los jaki ich czekał, a ciężarne kobiety modliły się o lekki połóg.

Być może dawny pogański obyczaj pytania duchów o przyszłość jak wiele innych adaptowany został przez chrześcijaństwo.

Zwyczaj Katarzynek, powszechnie znany w Polsce i żywo obchodzony jeszcze pod koniec XIX wieku, podobnie jak Andrzejki przypadał na okres schyłku jesieni, zakończenia prac polowych, porę długich jesiennych wieczorów, przesilenia jesiennego uważanego za czas najwłaściwszy nawiązaniu kontaktu z zaświatami i ostatnich zabaw przedadwentowych. Według tradycji Katarzyna i Andrzej otwierają adwent:

"Święta Katarzyna adwent zawiązuje, sama hula, pije a nam zakazuje"

Katarzynkowy wieczór był czasem ostatnich kawalerskich zabaw i uciech, zakazanych w adwencie, a później niedostępnych już żonatym mężczyznom.

"Święta Katarzyna śmiechem, święty Andrzej grzechem"

Radośnie więc witali chłopcy każdą okazję do beztroskiej zabawy, figli i śmiechu, a Katarzynki były do tego dobrym pretekstem, aczkolwiek w ich wróżbach i zwyczajach mniej było zapału, inwencji i entuzjazmu niż w dziewczęcych.

Katarzynki i niekultywowane męskie wróżby matrymonialne zanikły niemal całkowicie pod koniec XIX wieku. Warto jednak je poznać i pamiętać, bo są miłą składową częścią naszej kultury.

- Kawalerowie przed wszelkimi wróżbami zgodnie recytowali wierszyk ku pomyślności wróżb:

*Hej! Kasiu, Katarzynko
Gdzie szukać Cię dziewczynko
Wróżby o Ciebie zapytam
Czekaj – wkrótce zawitam
Bawmy się więc w Katarzyny
Szukajcie chłopaki dziewczyny
Zapytać więc trzeba wróżby
A nuż potrzebne już drużby*



- "W noc świętej Katarzyny pod poduszką są dziewczyny" – to porzekadło towarzyszyło wkładaniu pod poduszkę dziewczęcych przedmiotów, części garderoby czy ptasiego pióra mających sprowadzić proroczy sen o przyszłej narzeczonej, bądź karteczek z pierwszymi literami imion lub całymi żeńskimi imionami – które zaraz po przebudzeniu miały być wylosowane. Towarzyszyć temu mógł wierszyk:

*Wskaż proszę wróżbo wybrankę
Żonę i przyszłą kochankę
Wyciągam karteczki cztery
Są jej imienia litery*

- Wróżenie z kubków polegało na losowaniu ukrytych pod nimi przedmiotów symbolizujących ożenek (np. obrączka), przyływ majątku (np. monety), dobrą pracę (zboże), chwilowy zastój (pusty kubek). Losowaniu towarzyszyć może wierszyk:

Kasiu daj znać, co się będzie ze mną dziać

<http://www.katarzynki.swieta.biz/>
<https://pl.wikipedia.org/wiki/Katarzynki>

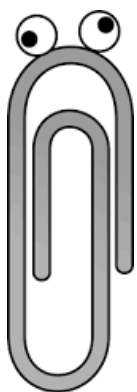


Czy wiecie, że ...

uczestniczymy w programie „Szkoła promująca zdrowie? Może macie jakieś ciekawe pomysły służące propagowaniu higienicznego, zdrowego trybu życia?

Z tygrysem przez ocean

- recenzja



Być może wiele osób kojarzy tytuł „Życie Pi” za sprawą ekranizacji kinowej. Ja też przez ten film dowiedziałam się o istnieniu książki – lecz ja go jednak nie oglądałam. Pewnego dnia zdecydowałam się na zakup książki.

Główny bohater to Hindus, Pi Patel. Jego ojciec jest właścicielem zoo w Indiach. Jego imię jest skrótem od słowa *piscine*, co po francusku oznacza basen. Zawdzięcza to swojemu przyjacielowi rodziny, pływakowi. Pewnego dnia jego rodzina decyduje się na przeprowadzkę do Kanady i sprzedaż zwierząt do innych ogrodów zoologicznych. Podróż nie idzie pomyślnie, statek w wyniku katastrofy idzie na dno. Chłopakowi udaje się uratować wraz z grupą zwierząt – zebra, orangutanem, hieną i tygrysem bengalskim. Rozpoczyna się długi okres dryfowania po oceanie i walka o przetrwanie.

To dosyć niezwykła książka – przez opisaną powyżej fabułę, sposób pisania, gdzie historia Pi w szalupie przeplata się z wydarzeniami z jego późniejszego życia. Píše on dziennik dokumentujący trudną sytuację i powolne oswajanie tygrysa. Zresztą cała historia zaczyna od wspomnień pewnego pisarza, który szukał pomysłu na książkę i spotkał mężczyznę, który opowiedział mu o Pi.

Nie spodziewajcie się filozoficznej rozprawy – ta książka jest głęboko filozoficzna, ale prosta w odbiorze, i może dlatego taka wyjątkowa. Zwykle przemyślenia bohatera, postawy ludzi, których spotyka, wreszcie obserwacja zwierząt – mamy tu ukazane wiele prawd o zachowaniu ludzi, czym jest instynkt i czym jest duchowość. Opowieść jest dziwna, prawdopodobna lub nie. Zakończenie odnosi się to tego, w co można uwierzyć a co chce się słyszeć. Sporo wątków w książce dotyczy religii, tygla, jaki spotkał bohater – gdzie przenika się hinduizm, islam i wreszcie chrześcijaństwo. Czytałam sporo recenzji książki i filmu w Internecie. Co mnie zdumiewa, to jak ludzie o skrajnie różnych poglądach potrafią jednakowo popierać je tą książką lub jak mając przeciwne przekonanie każdy uważa, że ta książka jest o czymś innym, niż oni chcieliby, żeby była. Są ateści, którzy mówią, że książka jest zbyt religijna i są chrześcijanie, którzy uważają, że jest za mało „katolicka”. Dla mnie to zdecydowanie historia o wierze, ale nie tej ujętej w dogmaty, precyzyjne słowa i zasady; nie można jej dobrze odebrać, gdy jest się zbyt radykalnym. Widzę w „Życiu Pi” niezwykle przesłanie o różnicach, ale i wspólnych cechach ludzi i zwierząt, o wierze, która pozwala podnieść się i walczyć z przeciwnościami, o Bogu, którego dokładnie nie można opisać. Jest tam powiedziane, że nie można potwierdzić niczego, w co się wierzy, ale gdyby dało się to zrobić, to nie można by już wierzyć. Jedna z recenzji blogowych, jaką znalazłam pochodziła od katoliczki i wytykała książce mieszanie religii oraz „bajanie” i nierzeczywistość. Moim zdaniem to, jaka jest historia nie jest jakimś minusem, przypomina przypowieść lub baśń, a baśnie mają jakieś przesłanie. Czasami taka opowieść jest ciekawsza niż konkret z życia wzięty, bo rozbudza wyobraźnię i można go interpretować tak, by odnieść ją nie do jednej, ale wielu realnych sytuacji. Jestem trochę uczulona na zbyt poważnych dorosłych i ich twarde zasady, to przykład tego, jak zetraca się pierwotne znaczenie – Boga, dobra, idei – na rzecz formułek, dziurek, w które trzeba wcisnąć odpowiednie klocki.

Wiedza człowieka o wielu sprawach, problemach, na które szukał odpowiedzi od czasów starożytnych jest znikoma. Wielu odpowiedzi nigdy nie poznamy. Pozostają tylko nasze uczucia i wyobrażenia, nasza wiara i chęć działania.

Czasem książka zwraca naszą uwagę na piękno przyrody, na podniosłość sytuacji, a czasem opisuje je bez upiększeń, naturalistycznie, humorystycznie czy brutalnie prawdziwie.

Polecam ją ludziom z otwartym umysłem, myślicielom i miłośnikom natury, na pewno jest to książka w ich guście i –dodatkowo- pewne zaskoczenie.

Judyta Janczara

RIDERO – KONKURS:

Bierzemy w nim udział.



MISJA – KSIĄŻKA !

Liczymy na Wasz głos.



Cukierek albo znicz

Czy lepiej w naszej pamięci zakorzenione jest późno październikowe Halloween, czy pierwszo-listopadowe Wszystkich Świętych? Odwieczna walka moralna pomiędzy 'potworną' zabawą a zadumą nad tymi, którzy odeszli. Skąd właściwie wzięły się te dwa święta i dlaczego obchodzenie któregoś z nich wciąż budzi kontrowersje?

Zaduszki są uroczystością typową dla kościoła katolickiego i dla Polski. Jest to wspomnienie wszystkich zmarłych Chrześcijan, w tym dniu dajemy przykład wiary w obcowanie świętych, zmartwychwstanie ciał, życie wieczne oraz skuteczność modlitwy wstawienniczej. Nostalgiczną, jesienną porą nawiedzamy cmentarze, stawiamy znicze i kwiaty na grobach bliskich zmarłych. Ubrani w ciepłe płaszcze przetrzaskamy na nowo pamięć w poszukiwaniu najpiękniejszych wspomnień. Bywa, że całe rodziny przybywają na tę okazję z dalekich stron, by potęczyć się w tęsknocie za tymi, którzy odeszli, oraz w nadziei na istnienie życia pozaziemskiego. Jednak to honorowe, podniosłe i jakże ważne dla wierzących święto wywodzi się przecież z obrzędów pogańskich. Szczególną rolę wyobraźni i obrzędowości ludowej pełnią Zaduszki, święto przypadające drugiego listopada – wszyscy dobrze znamy obrzęd dziadów, głównie dzięki twórczości Adama Mickiewicza. W okresie przedchrześcijańskim nie ograniczano się do zniczy, palono całe ogniska, a na cmentarzach wystawiano uczty. W noc między pierwszym a drugim listopada spodziewano się duchów wędrujących po ziemi, w strachu przed nimi nie wychodzono z domu, natomiast wrota kościoła wyjątkowo pozostawiano otwarte.

W tym miejscu genezy obu świąt się przenikają. Kiedy wczytamy się głębiej, można wręcz dojść do wniosku, że Halloween i Zaduszki to dwa sposoby obchodzenia tego samego święta. Początek amerykańskiego święta z dnia 31 października nie jest dokładnie znany, ale celtyccy kapłani wierzyli, że tego dnia zaciera się granica między światem żywych a umarłych, a duchom łatwiej jest przedostać się do nas z zaświatów. Dusze przodków czczono i zapraszano do domów, złe duchy zaś odstraszano. Ważnym elementem było również palenie ognisk. Paląc chciano dodawać słońcu sił do walki z ciemnością i chłodem. Symbolem święta Halloween były noszone przez druidów czarne stroje oraz duże rzepy, ponacinane na podobieństwo demonów. Uważa się, iż właśnie z potrzeby odstraszenia złych duchów wywodzi się zwyczaj przebierania się w ów dzień w dziwaczne stroje i zakładanie masek. Stąd też cały 'odstraszający' klimat wigilii Wszystkich Świętych – budzić postrach mają przebrania, wydrążone dynie, czarne koty i nietoperze. Dużo później do tradycji maskarady dodano 'cukierek albo psikus', wyławianie jabłek z wody, utożsamianie się z postaciami z horrorów.

Wydaje mi się, że Polaków nie kłuje wyłącznie krytyka ze strony Kościoła, jakoby Halloween miało być kultem szatana. Jest to namiastka obcej kultury, a przecież w kółko powtarza się, jak zamknięci jesteśmy i jak bardzo nie lubimy inności, obcości, zmian. A tu nagle wchodzi do nas w butach nieproszony obrządek, psujący młodzież, no jak tak można!... Do tego dochodzi jeszcze irytacja, gdy sami nie bierzemy udziału w zbieraniu słodczy, ale co pięć minut musimy otwierać drzwi duchom z prześcieradeł. Być może to niewdzięczne nawoływania „cukierek albo psikus!” wieczorną porą wywołują w nas niechęć do tego popkulturowego święta. O dziwo są nawet szkoły, w których z zasady zabronione jest obchodzenie Halloween. Dziwi to, tym bardziej że w tych samych szkołach tyle wspomina się o daleko posuniętej globalizacji, przypomina o tolerancji, akceptowaniu odmienności.

Przede wszystkim powinniśmy zastanowić się, czy obraża to nas, wpływa bezpośrednio na naszą psychikę i przestrzeń osobistą. Bo jeśli nie – nie powinniśmy się sprzeciwiać. Tyle się mówi o tym, że Polska to smutny kraj, że nikt się nie uśmiecha, nie cieszy z małych rzeczy. Zmieńmy to! Czy zbieranie cukierków i udawanie baśniowych stworzeń jednego wieczoru naprawdę AŻ TAK przeszkadza w tym, by następnego dnia oddać cześć zmarłym na miejskim cmentarzu?

Ada Piotrowska

Wiele atrakcji, czyli wyjazd integracyjny 2016

Las. Poranne słońce przedziera się przez liściaste korony omszałych drzew, ubarwiając ściółkę i nadając temu dziewiczemu miejscu magiczny wygląd. Soczysta zieleń hipnotyzuje nas, sprawia, że mamy ochotę wejść na jej niezbadane ścieżki. Powstrzymuje nas tylko... brak zasięgu.

Tak, tak – To po raz kolejny ALO Lingwista na wycieczce integracyjnej. Po przekonaniu pierwszaków, by chociaż na jakiś czas wyszli poza salę nr. 1, udało nam się wyciągnąć ich aż do miejscowości Wiele. Tam, w pensjonacie EFKA, położonym nad pięknym, spokojnym jeziorem, zamieszkaliśmy na trzy dni. Były to dni intensywnego wysiłku fizycznego i zacieśniania przyjacielskich więzi.

Już od progu witali nas opiekunowie – nasi kumple z „Azymutu” – Wojtas, Junior i Plastik. Na początek postraszyli nas zajęciami z podstaw musztry. Zaczęliśmy od wyznaczenia nietypowych zasad – nie wolno trzymać rąk w kieszeni, pod groźbą przewracania ubrań w pięć sekund na lewą stronę... na oczach całej grupy. Nad wyraz sprawnie poszła nam nauka komend: PADNIJ! GRANAT!! LOTNIK!!!... Jak opętani biegaliśmy po terenie ośrodka, pokładaliśmy się na trawie, padaliśmy na kolana a nawet odrobinę zanurzyliśmy się w jeziorku... Gra w „czołgi” mobilizowała to współpracy i rywalizacji, choć byliśmy u kresu sił. W ramach odpoczynku bardzo chętnie korzystaliśmy z placu zabaw – jak małe dzieci wskakiwaliśmy na huśtawki i karuzele, nawet tuż po obiedzie. Kolejne były zajęcia linowe – wysłuchaliśmy krótkiego wykładu o linach statycznych i dynamicznych, taśmach oraz karabińczykach, a po krótkim wprowadzeniu podstawowych zasad bezpieczeństwa przeszliśmy do zjeżdżania. Każdy z nas, wyposażony w uprząż, rękawiczki, kask, a co niektórzy również w lęk wysokości (i strach przed upadkiem) mógł przez krótką chwilę oderwać stopy od ziemi i przefrunąć na tyrolce nad wąwozem. Każdy dał pokaz niezgrabnych akrobacji powietrznych, a w międzyczasie nikt się nie nudził – leśna aura zmieniła naszą grupę w miłośników przyrody – przykładowo: duża część ekipy trenowała celność w bitwach na szyszki... Popołudniu wyzwaliśmy opiekunów na pojedynek o wyprawę do sklepu. Honorowy mecz siatkówki, po długich i dzielnych próbach uczniów ALO, zakończył się wygraną „Azymutu”, musieliśmy więc obejść się smakiem i przez najbliższe dni żywić się wyłącznie tym co sami upolowaliśmy... na stołowie. W końcu program obejmował też elementy survivalu. Nasza niekończąca się energia została wystawiona na próbę wieczorem, gdy leżąc głowa przy głowie, z rękoma wyciągniętymi w górę, mieliśmy po kolei przenosić każdego uczestnika wycieczki. Towarzyszyło temu jedyne w swoim rodzaju uczucie nieważkości i niedowierzania, jak niewiele trzeba, by unieść dowolny ciężar. Nie obyło się bez upadków, ale tym ‘koncertowym’ wyczynom bez przerwy towarzyszyły niepohamowane salwy śmiechu. Dla wytrwałych były też kolejne atrakcje: „pijak”, skoki w workach czy „gąsienica” – naprawdę ciężko jest poruszać się w 30-osobowej grupie, gdy każdy ma kostki przymocowane do kostek osoby po lewej i po prawej stronie. Wszyscy skończyli przemęczeni do granic możliwości, co niestety odbiło się niekorzystnie na planowanej dyskotecie. Kto chciał, ten miał okazję potać się... Takich osób nie było wiele, ale cóż – każdy integruje się jak chce. Rankiem następnego dnia, nie tracąc czasu, ruszyliśmy w las. Tam, pośród kłujących krzewów i ton piasku, mieliśmy za zadanie przygotować rozpałkę i opał, z pomocą krzesiwa rozpałić ognisko i... ugotować herbatę. Niektórzy z nas uciekali się do ogromnych poświęceń, a dym wyciskał zły z oczu, ale niczym Bear Grylls zachowaliśmy pełen profesjonalizm, a napary z mięty, pokrzywy i sosnowych igieł okazały się zaskakująco smaczne... Tylko w niektórych dawało się wyczuć zastanawiający posmak ryby. Wielu emocji dostarczyła też zabawa w „mafię” – odgadnięcie „ról w mieście” nie było oczywiste przy tak dużej ilości grających. Kilku cywilów cierpiało, na szczęście jednak udało nam się złapać przestępców. Nieoczekiwanie zostaliśmy zabrani w głąb lasu (przejście do miejsca docelowego ze trzy razy przerwał nam GRANAT!!!). Tam czekał na nas wymagający tor przeszkód. Ktokolwiek odważył się go pokonać, musiał liczyć się z włączącym wszędzie piachem, ubłoconą odzieżą i presją czasu. Ostatecznie jednak nawet grupowo udało się pokonać opony, pajęczka, tunel czy „ponowne narodziny”. W międzyczasie zmianom uległa kadra opiekunów, dołączył do nas Cyc, który jeszcze tego samego popołudnia pokazał nam sztukę szyfrowania na wiele sposobów. Te zajęcia na pewno przydadzą nam się w życiu, w szkole, być może na zbliżających się testach... ;) Spędziliśmy miło czas również przy ognisku, wspólnie piekąc kiełbaski i oczywiście opowiadając sobie nawzajem historie życia. Nie był to w żadnym razie koniec atrakcji – zostaliśmy

ponownie wywleczeni do lasu, gdzie w zupełnych ciemnościach graliśmy w „przejmowanie flagi”. Nie było to proste, lecz wykorzystaliśmy wszelkie umiejętności taktyczne i do perfekcji opanowaliśmy skradanie się, by dopiąć celu, co po licznych i wyczerpujących próbach przyniosło pożądany rezultat. Jednak „Azymut” nie miał nas dość, o nie... O północy musieliśmy przywołać trzeźwość umysłu, ponieważ sprawdzona została nasza pamięć i nabyta wcześniej zdolność rozkodowywania. Wreszcie wszyscy, sforsowani i zmarznięci, wróciliśmy w ciepłe ramiona EFKi. Ostatniego dnia, na rozładowanie emocji, dostaliśmy do rąk pistolety, strzelby i łuki. Polowaliśmy na dziką zwierzynę – wilki, dziki i tym podobne. Na szczęście nie ucierpiał żaden uczestnik wycieczki (oczywiście nie ucierpiało też żadne zwierzę...).

Mroźna bryza nie przeszkadzała nam w dobrej zabawie. Z rozbawieniem padaliśmy na ziemię za każdym razem, gdy w pobliżu lądował granat, a także kryliśmy się przed lotnikiem. Po trzech dniach wróciliśmy do Gdańska zmęczeni, ale i wypoczęci. Poznaliśmy się lepiej i już nie możemy się doczekać, aż nasi młodszy i starsi koledzy znów wyłonią się ze swoich sal lekcyjnych ;P

Ada

Poniżej znajduje się materiał komiksu. Zdaniem treści i uzupełnienie przestrzeni.

UWAGA! KONKURS

wyjściowy do stworzenia uczestników jest wypełnienie go szczegółów charakterystycznych

Autor/autorzy najciekawszych propozycji zostaną nagrodzeni pełną witaminą nagrodą oraz zwolnieniem z sądownia wiedzy w wybranym przez siebie dniu. Zapraszamy!

